

żyć
nie
byle
jak

marek
sokołowski SJ

żyć
nie
byle
jak

wydawnictwo wam
księża jezuici
kraków 2013

© Wydawnictwo WAM, 2013

Redakcja
Katarzyna Ogórek

Współpraca
Barbara Cabała

Projekt okładki
Andrzej Sochacki

ISBN 978-83-277-2400-7

NIHIL OBSTAT. Przełożony Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego
ks. Wojciech Ziółek SJ, prowincjał, Kraków, 28 listopada 2011 r., l.dz. 329/2011.

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Na początek

Kolejne lata minęły. Nazbierało się trochę nowych doświadczeń. Cały zastęp bliskich poszedł do nieba. Dołączyli do nas nowi znajomi, tutaj na ziemi. Czas pokazał, co potrafi z nami zrobić. Niektóre z naszych marzeń się spełniły, ale większość nie. Może to i dobrze. Przynajmniej będzie o czym dalej marzyć. Zdrowie albo może pewne jego braki dają znać o sobie.

Człowiek bardzo pragnie przeżywać dobrze swoje dni, otrzymane od Boga w darze. Już Adam Mickiewicz zauważył:

W słowach tylko chęć widzimy, w działaniach potęgę;
Trudniej dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę.

I właśnie nad sensownym przeżywaniem Bożych darów zatrzymuję się z moją refleksją w tej książce. Jest to pragnienie tak serdeczne i tak żywe, że czasami sen mi przerywa i napędza niepokojącymi pytaniami: Czy w tym, co robię, jest sens? Czy może to zwyczajna bylejakość? Jak spojrzę w oczy tym, których może zgorszyłem?

Spinam moje refleksje wierszami jak klamrami. Na początku jest wiersz i na samym końcu też. Czasami pojawia się między refleksjami. Mogę więc śmiało powiedzieć, że są one „czymś między wierszami”. Jest to życie między wierszami, wierszami otoczone i dziejące się tam, gdzie na kartce jest białe.

Nie będę dalej wprowadzał, tylko właśnie spokojnie pochylę się nad tym ludzkim życiem, które – jak w moim przypadku – dzieje się między wierszami. Zaczynam od wiersza, który jak refren wraca w moim sercu przez prawie pół wieku. Napisał go kiedyś mój zakonny współbrat.

Posłuchajmy:

Nie chcę, by życie było byle jakie
nie chcę, by było w nicość zapatrzone
niech ono będzie Ewangelii znakiem
niech już przemiany w nim się cud dokona.

Błogosław Panie mym pragnieniom
błogosław Panie mym zamiarom
bym wszystko łaską mógł przemienić
osiągnąć pełnię Twojej miary.

Uczynisz Panie ze mnie krzew gorczycy
co się rozrośnie drzewem rozśpiewanym
lub stworzysz ciszą pośród nawałnicy
czy też powiewem wiatru rozedrganym.

Niech będzie Panu wieczna chwała
wraz Ojcu z Synem i Duchowi
niech wielbi Pana ziemia cała
niech wielbią Pana ludzie nowi!

Józef Majkowski SJ

Naprawdę nie chcę, aby życie było byle jakie. I w nicość ciągle zapatrzone. I mdłe jakieś. Nie chcę też czasu zwyczajnie zabijać. Dobrze czas wykorzystać – to chyba zawsze jest ważne. Dobrze przeżywać życie – to zadanie na zawsze.

To pragnienie żywe, które chyba nigdy u mnie nie traciło na swojej aktualności. Lata młodzięcze były nim przepojone, chociaż zamierzenia różniły się nieco od tego, co przyszło później, gdy sam Bóg zaangażował się w moje życie. On nieco pomieszał w marzeniach i skorygował kierunki moich działań. Dzisiaj po półwieczu prawie powiem: Jednak Pan Bóg doskonale wiedział i wie, co robi.

Ale po kolei. O ile w ogóle można coś „po kolei” po kilkudziesięciu latach. Wciąż krążą mi po głowie wspomnienia, które patrząc retrospektywnie, układają się w jakiś ciąg i to wcale nie-

przypadkowy. Ktoś faktycznie pisał prosto na pokręconych liniach mojego bytowania na tej ziemi. Ktoś przez wielkie „K”, no bo ktoś inny mógłby tak poukładać tok zdarzeń.

Przytoczę tylko trzy takie przykłady, trzy marzenia, które wydają mi się istotne w trosce o to, by życie nie było byle jakie. Będzie też o takim marzeniu, które niby się skończyło, a ciągle żyje. Jest ono realizowane w codziennej wędrówce po ziemi.

Jako chłopak marzyłem, by zostać aktorem, bo bardzo mi się podobały amerykańskie westerny, i ten największy chyba z największych aktorów gatunku – John Wayne. Pan sprawił, że i ja „występuję” przed ludźmi i to nawet często. A chociaż samego Johna Wayne’a nie spotkałem, to miałem okazję poznać jego żonę i córkę, być w domu, w którym mieszkał, gdzieś tam w słonecznej południowej Kalifornii. Moje „aktorstwo” teraz to posługiwanie się słowem i gestem, oby tylko dobrym, w tym niezwykłym „teatrze życia”, jakim jest Chrystusowy Kościół i zakon jezuitów, który od ponad czterdziestu lat jest moją rodzimą sceną. Rodzimą i jedyną.

Marzyłem też kiedyś, by zostać pilotem. Te plany Pan Bóg wcześniej mi pokrzyżował – zwyczajny brak predyspozycji zdrowotnych, a w moim przypadku uporczywe bóle głowy, które pojawiły się już w liceum. Ale i z tego wyszedłem takim trochę bocznym wyjściem. Bo oto podczas mojej „trzeciej probacji”, a więc czasu przeznaczonego na duchową odnowę już po święceniach kapłańskich i kilku latach pracy duszpasterskiej, znalazłem się na Alasce. A tam zimą jedynym właściwie środkiem transportu był samolot. No i miałem tę okazję, by pouczyć się pilotażu. Poznałem tajniki prowadzenia niewielkiej awionetki Cessna 180.

Jak ja lubiłem ten niewielki samolocik. Moje marzenia się spełniały, gdy unosiłem się w przestworza i „robiłem za drugiego pilota”. Poznawałem przy tym Alaskę z góry. Piękna, urzekająca biała kraina, spędziłem tam długą zimę, odwiedzając eskimoskie maleńkie wioski, położone bardzo daleko od świata. Tym niewielkim samolotem przemierzyłem Alaskę ze wschodu na zachód i z południa na północ. Miałem już nawet „wylataną” ilość go-

dzin potrzebną do zdobycia licencji pilota. Kiedy powróciłem do Polski, zastałem ją niemiłosiernie pokaleczoną stanem wojennym. Wtedy nie było już nawet przebłysków myśli o kontynuowaniu przygotowań do stawania przed komisją egzaminacyjną. Na co dzień żyło się zupełnie innymi sprawami.

A moje trzecie marzenie – to zostać lekarzem. Już widziałem siebie na sali operacyjnej, otoczonego personelem, jak pomagam komuś choremu. Myślałem zająć się neurochirurgią, pewnie dlatego, że chciałem pomagać tym, których też boli głowa. Sprawił Pan Bóg, że po nowicjacie zakonnym odbywałem praktykę w niewielkim szpitalu w Pleszewie koło Kalisza. Oficjalnie był to etat noszowego, ale robiłem wiele rzeczy, których nauczyły mnie pielęgniarki, a w tym szpitalu były to siostry zakonne. To wszystko przydać się mi miało w przyszłości, kiedy jako duszpasterz akademicki wykorzystywałem często moje „medyczne doświadczenie”. A później to już się mówiło, że jako kapłan stałem się „lekarzem dusz”. Jakaś kolejna boczna furtka do miejsca, gdzie się marzenia spełniają.

Muszę też tutaj zatrzymać się przy moim zupełnie szczególnym zainteresowaniu – zaznaczam – czynnym, a był to i ciągle jest sport. No i jest jeszcze muzyka.

Odkąd tylko pamiętam, sport zajmował w moim życiu miejsce zupełnie szczególne. Przez wszystkie lata szkolne grałem w piłkę ręczną i podobno byłem dobry, skoro kapitanowałem szkolnej drużynie w podstawówce i w ogólniaku. A zima to był czas łyżew i tenisa stołowego. Przez kilka lat intensywnie trenowałem lekkoatletykę. Przerwać musiałem już pod koniec liceum, bo zabierało to za dużo czasu, i ta nieszczęsna głowa, która wtedy już mocno mi dokuczała. Owszem, miałem nawet pewne sukcesy sportowe. Jakieś puchary, jakieś dyplomy, kilka regionalnych rekordów. Otarłem się również o kadrę narodową.

Nigdy, jak dotąd, ze sportem nie zerwałem. Już nie tak na całego, ale tenis ziemny i narty są ciągle obecne w moim życiu. A skoro są to dyscypliny sportowe, które można amatorsko uprawiać właściwie w każdym wieku, to trzymam się ich mocno. Mam więc

wytłumaczenie i jednocześnie usprawiedliwienie dla własnego sumienia, bo w końcu i o sprawność fizyczną trzeba dbać.

Jeszcze muzyka. Dla kogoś patrzącego z boku może to się wydać jakieś karkołomne połączenie stylów. Zachwyty muzyką klasyczną, poważną, zrodził się w czasie, kiedy już jako „dorosły kapłan” razem z moimi bliskimi zacząłem „bywać” w filharmonii. Od kilku lat jest to bywanie dosyć systematyczne, z racji posiadania karnetu sezonowego. Dobrzy ludzie zatroszczyli się, abym mógł z tego luksusu korzystać. Wieczory piątkowe w Filharmonii Warszawskiej są, bez żadnego patosu, uctwami duchowymi.

Drugą miłością muzyczną jest country. Rozpoczęło się to już dawno, kiedy po raz pierwszy miałem okazję wylądować w Stanach Zjednoczonych. To już prawie czterdzieści lat minęło od tamtego lądowania za Oceanem. Pamiętam moje pierwsze zachwyty, kiedy jeszcze z kaset magnetofonowych słucałem gwiazd tego gatunku. Był tam Johnny Cash, Kenny Rogers, Willie Nelson i wielu innych, których płyty są zawsze gdzieś blisko mnie. Zachwyceniem się tym, że Merle Haggard w piosence *Okie from Muskogee* wysyłał wszystkie złe moce precz do San Francisco, aby tam sobie trawkę paliły, głośno jeździły swymi motocyklami. On sam był dumny, że pochodził z małego miasteczka Muskogee w Oklahomie.

Ja zresztą też ciągle jestem dumny, że pochodzę z miasteczka na Mazowszu – Ciechanowa. A kiedy słyszę, jak Willie Nelson śpiewa *On the Road again*, to widzę bezkresne tereny Ameryki, wielkie ciężarówki i tęsknotę do swoich małych ojczyzn.

Uwielbiałem słucać w Polsce audycji radiowej „trójki” prowadzonej przez Korneliusza Pacudę, a była to audycja „Wszystkie drogi prowadzą do Nashville”. Teraz z uwagą wysłuchałem audiobooka *Drogi do Nashville*, właśnie napisanej i opatrzonej częścią muzyczną przez pana Korneliusza, znakomitego znawcę tego gatunku muzyki.

Nie jest mi obca także rockowa muzyka. I nie jest to tylko muzyka z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy, jak każdy chyba młody człowiek, tego gatunku słucałem.

Do dzisiaj śledzę to, co się dzieje i w tej jakby mniej poważnej muzyce. Mniej poważnej, ale dla mnie ciągle ważnej, bo jej twórcy mają jakiś przekaz, oczywiście jeśli jest to muzyka reprezentująca pewien poziom.

Tak się zastanawiam, czy te moje „marzenia” miały jakiś wpływ na troskę o to, by eliminować bylejakość z codzienności, na różnych życiowych ścieżkach? Z biegiem lat coraz bardziej skłonny jestem wyznać, że to wszystko miało wielkie znaczenie i w mojej formacji duchowej, fizycznej, i zapewne intelektualnej.

Muszę też jednak szczerze przyznać, że oczyścić się z bylejakości jest czymś niezwykle trudnym. Nigdy się tego nie wyżyłem i ciągle przyłapuję się na byle jakich ścieżkach, w byle jakich miejscach i w byle jakich działaniach. Ciągle jest tego dużo. I nieustannie potrzebny jest wysiłek i to przypominanie sobie, że nie chcę, by życie było byle jakie.

Wielkim umęczeniem dla każdego człowieka jest odnalezienie swojej drogi w życiu. Tej jedynej, która wyznaczona jest przez Boga i daje spokój wewnętrzny, nawet gdy trudy na niej spotykane bywają nie do zniesienia. Potrzeba czasu, wysiłku i roztropnego rozeznania, aby nie pomylić kierunków albo nie wpaść w jakiś ciemny zaułek. Trzeba też spokoju wewnętrznego i cierpliwości, aby wytrwale kroczyć tą drogą, którą dzięki Panu Bogu uważam za swoją.

Trzeba również nieustannie prosić od rana do nocy samej, aby Dobry Bóg błogosławił pragnieniom, marzeniom i wszystkim zamiarom. Bym umiał przemieniać szary dzień na kolorowy zestaw zdarzeń. Żeby rosła chwała Boża i zbliżało się do chrześcijańskiej doskonałości moje życie.

Już tyle razy patrzyłem w nicość. I ciągle w nią patrzę, kiedy sprawy się poplączą tutaj na ziemi. Z tego poplątania już chyba tylko łaska Najwyższego wyprowadzić może, bo oto ludzie zawiedli, zepsuł się klimat, a mojego wysiłku i zaangażowania w sprawę jakby nikt nie dostrzegł.

Bardzo potrzeba mi wiary. Takiej małej jak ziarnko gorczycy. I tego, by się rozrosła w drzewo rozśpiewane. Żeby wielu

mogło się skryć w cieniu tego drzewa, aby posłuchać harmonijnych dźwięków. By mogli znaleźć tutaj ciszę, gdy nawałnica szaleje dookoła, czy choćby powiew wiatru rozedrgany. Już wiem, że takie sytuacje się zdarzają, kiedy zdobędę się na ewangeliczny gest przebaczenia, kiedy nie będę głośno wykrzykiwał listy moich żalów do Boga i do ludzi, nawet jeśli uważam, że są uzasadnione.

Ale najwięcej spokoju i pokoju daje mi czas, kiedy czuję, jak Dobry Bóg ciszą mnie otula niczym swoim ramieniem. Lubię ciszę. Ten święty czas, gdy już tylko delikatny powiew wiatru mówi, że Pan chce ze mną rozmawiać. A ja w swoim sercu, wyciszonym i bez wielkich słów, zwracam się do Niego i tylko proszę: Błogosław Panie mym pragnieniom, błogosław Panie mym zamiarom.

Spraw, abym pisał piątą, żywą świętą ewangelię moim życiem, bym dzięki Twojej łasce niepokój w pokój zamieniał, lzy po drodze spotkane osuszał, bym nie ustawał w wysiłku osiągnięcia Twojej miary.

Niech będzie Twoja chwała, Panie. Niech Cię cała ziemia wielbi. Niech Cię wielbią ludzie nowi. Błogosław czas mojej przemiany w nowego człowieka.

I jeszcze przyjmij dziękczynienie za drogę, na którą mnie wprowadziłeś. I jeśli naprawdę skosztuję „życiowej mądrości”, spraw, abym jej nigdy nie zmarnował. Pragnę ją z innymi dzielić.

Błogosław Panie mym pragnieniom! Żebym życia nie przeżywał byle jak!

Dziwne proporcje

Większe domy – mniejsze rodziny

To fakt, że ludzie budują coraz większe domy. Wystarczy tylko wyjechać niedaleko za miasto, a już oglądamy pałace. Pałace kłujące czasami w oczy swoim brakiem harmonii albo po prostu zwyczajnym bezguściem. Oglądamy też domy jak z bajki. Wielkie, jasne, otoczone zielenią. Czasami przez żywopłoty możemy nawet dojrzeć kształty basenów i kortów tenisowych. Zupełnie jak w domostwach z innego klimatu.

Są to piękne, przestrzenne domy. Widać, że naprawdę ktoś to wszystko mądrze zaplanował i zbudował. Integralną częścią takich domów są garaże. Najczęściej na dwa samochody, ale bywają i większe. Metraż takich garażów czasami bywa o wiele większy od nawet dużych „M” w miejskich blokowiskach. Ot, nowoczesność, dobrobyt, a dlaczegoż by nie. Skoro można, no to trzeba. I tak rozrastają się nam przedmieścia wielkich miast.

Ale i w samych miastach możemy spotkać wielkie domy. Nie mówimy tutaj o ogromnych szklanych biurowcach, ale o apartamentowcach i domkach jednorodzinnych położonych w całkiem ładnych dzielnicach tychże miast i miasteczek.

I też wszystko aż błyszczący. Dopieszczony kształty i wykończenia. Garaże również duże – w domki wklejone albo znajdujące się w podziemiach szklanych apartamentowców. Nieco trudniej w tych budowlach drzwi wejściowe spokojnie otworzyć, bo zaraz odpowiednio ubrany portier zatrzymuje i przepytuje: kto, po co i do kogo?

No i są mieszkania nierzadko zwane rezydencjami. To już nowoczesność na całego. I wielopoziomowość, i przestrzeń. Ogrody na dachach i tarasy pełne zieleni, i wielkie balkony, i okna od podłogi po sufit.

Bywa, że tzw. normalny człowiek zostanie zaproszony do jakiegoś wspaniałego domu, wielkiego i zachwycającego swoim przepychem, że znajdzie się z jakiejś tam przyczyny w takim nowoczesnym apartamencie. Co wtedy uderza najbardziej obok całego tego przepychu, może nawet i piękna? Co sprawia, że wtedy nasze oczy, zwyczajnych śmiertelników z przeciętnych, prostych mieszkań, są jakieś rozbiegane i jakby zmęczone?

No właśnie, nie możemy najnormalniej doliczyć się odpowiedniej liczby osób przypisanych do takiego metrażu. Tyle przestrzeni, a tak mało osób. My, przyzwyczajeni najczęściej bardziej do ciasnoty niż do wolnych metrów kwadratowych, nadzieić się nie możemy, że w takim ogromnym i pięknym domu czy apartamencie mieszka tak mało ludzi.

Coraz większe domy i coraz mniejsze rodziny. To właśnie zjawisko zauważamy coraz częściej. Te „cudowności architektury” bywają nawet zamieszkiwane przez jedną osobę, czyli singla. To faktycznie może dziwić. Ewentualnie odrobinę spokoju w sercu może zasiać obecność psa albo innego „współmieszkańca”, niekoniecznie człowieka. Przynajmniej ma piesek trochę miejsca na zabawę.

Znak naszych czasów. Nieliczne rodziny. Jeśli jest jedno dziecko, to oprócz chodzenia do oczywiście ekskluzywnej szkoły, zaangażowane jest w najrozmaitsze działania, kursy języków obcych, zajęcia na pływalni, w kółkach tanecznych i muzycznych. I widać, że takie dziecko za dużo czasu nie spędza w tym pięknym domu, a jeśli już, to najczęściej samotnie wpatrzone w ekran komputera czy telewizora.

Rodziców też jakby mniej w takich domach. Są zapracowani od rana do nocy, wszak taki dom kosztuje. Takie spotkania z właścicielami całkiem podobnych „pałacodóów” wymagają więcej czasu. I zapyta wtedy zwyczajny człowiek, czy to już wszystko. Ależ absolutnie nie – odpowie mieszkaniec szklanego domu. Przecież my od czasu do czasu spotykamy się w rodzinie. Nawet spędzamy wspólnie wakacje, najchętniej na jakiejś odległej, ciepłej wyspie, klasyka cytując: w „jakichś pięknych okolicznościach przyrody”.

No i raczej w swoim dobranym towarzystwie, wszak męczą nas szare tłumy.

I jeszcze zapyta cichutko zwyczajny człowiek: A jak liczna jest wasza rodzina? Taka na nasze czasy – odpowie mieszkaniec dużego domu – dwa plus jeden. No, może jeszcze pies. To całkiem niezły układ, bo zauważamy, że nasza gosposia i tak ma dużo do zrobienia, gdy my pracujemy. A przecież i z pieskiem wyjść trzeba, i sam tylko ogródek wymaga pełnego etatu.

Przyjdzie więc mieszkaniec najzwyczajszego „M” do siebie. Najpierw przywita się radośnie z dziećmi, które już czekają przy wspólnym stole na obiad. Nawet to najmniejsze w rodzinie – piąte czy szóste – ma już swoje miejsce. I tyle jest spraw do omówienia, i tyle radosnej wrzawy. Chociaż trochę ciasno i głośno, to tak naturalnie i swojsko. Oby tak tylko w zdrowiu – powie zwyczajnie zapracowana, ale uradowana obecnością wszystkich mama. Potem dzieci zajmą się pracą domową zadaną w szkole, a rodzice będą rozmawiać o kazaniu z ostatniej niedzieli, bo było całkiem ciekawe. Ksiądz mówił o Świętej Rodzinie. I tak snują refleksje na bazie aktualnych swoich doświadczeń i obserwacji innych rodzin.

Można patrzeć na Świętą Rodzinę rzeczywiście jak na rodzinę „nie z tej ziemi”, „nie z tego świata”. Istnieje uzasadnienie takiego patrzenia i takiego mówienia. Przecież Matka Boska była niepokalanie poczęta, a Jezus był Bogiem-Człowiekiem. Józef miał jakieś dziwne sny, o których w naszych czasach się nie słyszy.

Ale właśnie z taką rodziną coś naprawdę nas łączy. Tyle rodzin, które znamy, mieszka w niedobrych warunkach. Dla niektórych młodych małżeństw dzisiaj nawet metraż stajni może wydawać się nie tak mały, skoro pobożna tradycja umieściła w nim wołu i osła, i całą grupę pasterzy. Brak mieszkania, brak poczucia bezpieczeństwa były i ciągle chyba są powodem dalszych czy bliższych emigracji. Tylu naszych znajomych udawało się jeszcze dalej niż do Egiptu. Porównujemy tamtą Rodzinę do tych naszych.

Matka Boska i święty Józef, szukając dwunastoletniego Jezusa, przeżywali samotność. Niepokój ich ogarnął, bo szukali tylko Je-

zusa człowieka. Jego tajemnica ich przerastała. Podobnie i my, żyjący w rodzinach, troszeczkę czujemy się samotni. I zauważamy, że nieustannie wygasają nasze ogniska domowe. I znowu mniej ojca w ojcach naszych i mniej matki w naszych matkach. Domu jakby mniej w domach naszych. Przekształcają się w noclegownie w obrzydliwych blokowiskach, w złote pałace na obrzeżach miast.

System totalitarny miał swój znaczny wkład w rozbitcie rodziny. Obecny zresztą podobnie. Matki wypędzał do prac wszelakich, a dzieci na cały dzień do żłobków i świetlic. Wymazywano z rodzinnego życia wspólną modlitwę i nie mówiono o wędrownie do kościoła, a co najwyżej o pochodach i akademiach „na cześć”. Zanikał też zwyczaj rodzinnych posiłków, za to coraz więcej ludzi wypełniało bary i stołówki, delektując się również *fast foodami*.

Ale ludzkość w chwilach opamiętania zawsze wraca do tego, co najważniejsze – do ojca, matki i dziecka, do rodziny, do domu. Jakoś tak instynktownie wiemy, że bez względu na to, co ludzkość jeszcze wynajdzie, jakie przeżyje przewroty, do jakich dojdzie osiągnięć – jej podstawą pozostanie rodzina i dom. I dziecko w rodzinie. Ludzie wielcy wiarę odzyskiwali, gdy w noc Bożego Narodzenia słuchali dzieci, pięknie śpiewające kolędy. To dla Dziecka Najświętsza Panna trzyma się w Lourdes i w La Salette, porusza słońce na niebie nad Fatimą, Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie. To dla dziecka ci, którzy nie wierzą w Boga, obchodzą mimo wszystko dzień świętego Mikołaja. Dla wielu dziecko jest jedynym, ostatnim słowem, jakie jeszcze kojarzy się z pojęciami: świętość, niewinność, czystość. Może jest wspomnieniem utraconej wiary, do której się wzdycha i tęskni, przywołując w pamięci własne dzieciństwo.

Są oczywiście jeszcze rodzice i czas, który nieubłaganie płynie. Gdy już życie pokaże, czym jest, człowiek zauważa, że często krytycznie myśli o rodzinie. A jednak we wspomnieniach wszystko pięknieje. Fotografia matki jest jak święty obrazek. Ojciec też wraz z upływem lat wydaje się świętym. A rodzina, Boże dzieło, raz jest dla człowieka krzyżem, innym razem wielką radością. Nie

od nas to jednak do końca zależy, że mamy takich rodziców, takie rodzeństwo. Może więcej zależy, jeśli chodzi o dzieci, bo je można jeszcze, i trzeba, odpowiednio wychować. Ale rodzina jest tajemnicą woli Bożej. W takiej, jaką Bóg nam daje, możemy dojrzewać do spotkania z Nim.

Czytamy w Piśmie Świętym o zagubieniu Jezusa. Czasem wydaje się, że gubimy Go w naszym życiu wewnętrznym, w rodzinach, pośród bliskich i dalekich ludzi. Tymczasem wtedy, kiedy Go gubimy – On sam nas najbardziej szuka. Tym pewnie należy tłumaczyć nagłą potrzebę modlitwy, każde nawrócenie, tęsknotę za ładem serca.

Oto, co pisał kiedyś Stanisław Wyspiański:

Gwiazda wzeszła i świeci,
nad kolebką dziecięcą,
nad miłością zabłysła matczyną.
Światło błysło stuleci,
radość nocy tej święcą:
Gwiazda wzeszła nad Świętą Rodziną.

Nad wszystkimi rodzinami wzeszła gwiazda. To, co piękne, jest radością na zawsze. Betlejem, Nazaret – niech się staną radością naszych rodzin. Tylko trzeba sobie od czasu do czasu przypominać, jak ważna jest rodzina dla każdego człowieka. No i żeby jak najmniej było takich wielkich domów, w których najzwyczajniej brakuje rodziny.

Jednak współczesność niesie kolejne niepokojące spostrzeżenia. Coraz więcej wygod otacza człowieka, który jednocześnie ma coraz mniej czasu na korzystanie z nich. We współczesnych, nowoczesnych domach mieszka niewielka rodzina. Kompletuje sobie rzeczy uznane za niezbędne. Wszelkie urządzenia, bez których dzisiaj nie można już sobie wyobrazić życia. Pokoje wypełniają się nowoczesnymi meblami, zresztą bardzo funkcjonalnymi i wygodnymi, a przy tym niezwykle stylowo projektowanymi, zgodnie z potrzebami człowieka.

I oczywiście nowoczesna technologia. Tę spotyka się jeszcze przed wejściem do współczesnych domów. Nie zatrzymując się nawet przy portierach, odpowiednio ubranych w czysty i schludny apartamentowcach, zobaczymy, co na nas czeka przed tymi, gdzie portierów nie ma. No właśnie, tam są domofony i kamery. Zanim nas ktoś wpuści do swojego mieszkania, to musi nas przedtem dokładnie zobaczyć. No i dobrze, bo po co wpuszczać intruzów czy jakichś innych domokrażców. Mieszkania są jak sejfy.

Windy prowadzą do samego mieszkania. Cały zestaw odbiorników telewizyjnych, bo jeden to za mało. Wspaniałe systemy wizji i dźwięku, nazywane kinem domowym. Są oczywiście komputery, te stacjonarne oraz laptopy, z którymi można się spokojnie przenosić na balkon czy na taras, wszak działa zwykle sieć bezprzewodowa Wi-Fi. Są telefony komórkowe, a właściwie coraz częściej smartfony.

Gdy ktoś rzuci okiem do kuchni, to wpaść może w zachwyty nad najnowocześniejszymi urządzeniami do przygotowywania posiłków dla rodziny. Chociaż w większości przypadków tylko niektóre z tych cudów techniki są wykorzystywane, bo rodzina najczęściej nie przebywa w komplecie, a i tak jest za mała na taką technologię. Najczęściej używana jest kuchenka mikrofalowa. Zawsze przecież można odgrzać jakieś sztuczne danie zakupione w supermarkecie. Większość innych cudów po prostu stoi lub wisi ot tak sobie; a może kiedyś goście w większej grupie przyjdą, wtedy się je wykorzysta...

Członkowie rodziny zwykle tylko rano coś tam zjedzą czy sok jakiś wypiją i ruszają w miasto, to znaczy wsiadają do windy i kierują się prosto do garażu. Chwila na zatrzymanie się to najbliższy korek drogowy, których coraz więcej w naszych miastach. Ma się czasami wrażenie, że to są jedyne miejsca, gdzie zagonieni do nieprzytomności ludzie muszą się zatrzymać. No i się zatrzymują, ale bez spokoju. Jest na pewno zdenerwowanie, załatwianie spraw przez telefon komórkowy i przeróżne czynności, żeby nie tracić czasu w korku.

Oszalała cywilizacja współczesnych robokopów. Tyle nowoczesności nas otacza. Tyle wspaniałych urządzeń. Tyle niezwykłych zdobyczy techniki. Taki ogrom technologicznych cudowności, które mają człowiekowi pomagać w życiu codziennym. Oczywiście pomagają i to bardzo. Na każdym kroku spotykamy jakieś ułatwienia.

Jeśli jednak tak spokojnie na to wszystko popatrzymy, to możemy dojść do wniosku, że tak naprawdę człowiekowi czasu brakuje, aby móc korzystać z tych wszelakich wygod i udogodnień, otaczających go dookoła.

Po powrocie do domu z pracy czy szkoły najczęściej towarzyszy człowiekowi zwyczajne zmęczenie. A tu jeszcze jakieś spotkania, telefony do wykonania, przejrzenie poczty elektronicznej. Czasami bywa, że jest tzw. biznesowa kolacja, oczywiście gdzieś w mieście. Nawet nie ma kiedy popatrzeć w duży, wielofunkcyjny telewizor. I w kuchni też się nic nie dzieje, nawet kurz się nie zbiera, bo wszystko szczelnie zamknięte i jakby kurzooodporne.

Czymś wielce radosnym może być fakt, że w domu jest pies. Ten ma wpływ na swojego pana i wychodzi z nim na spacer, to nic, że krótki, ale zawsze. To się liczy. Zatem niech żyją psy, wszelkiej rasy i urody, bo one pomagają człowiekowi w trosce o zachowanie właściwych proporcji w zapędzonym życiu.

Jest jeszcze jeden wymiar posiadania, bardziej dotyczący ludzkiego ducha. Żeby to zrozumieć, trzeba zajrzeć do Ewangelii według św. Łukasza, która podaje niezwykle mocny opis historii bogacza i ubogiego Łazarza. Jeden miał wszystko na ziemi, drugi był pozbawiony wszystkiego, może z wyjątkiem chorób i głodu.

Można być Łazarzem, można być bogaczem. Kiedy patrzymy na kolejki czekających na darmową zupę, na tułających się po dworcach i ulicach ludzi bez domu, kiedy we własne serce patrzymy, to powiemy, że bogatych jest na pewno mniej. Bo nietrudno jest być Łazarzem ducha.

Człowiek zauważa, jak mu się rwie modlitwa i jak mu się Kościół oddala. Dziwnie blisko natomiast do grzechu. Jest na wyciąg-

nięcie ręki, o krok tylko od złej woli. Rozmywa się człowiekowi Dekalog. I jak tu być sobą, skoro siebie samego się nie lubi?

Oddech z zazdrości wstrzymujemy, gdy pojawiają się bogacze ducha. Tacy rozmodleni. Tacy spokojni. Ze złożonymi rękami, z czystymi myślami. Potrafią z innymi rozmawiać, nie denerwują się prawie nigdy. A prawie zawsze mają dla innych życzliwy uśmiech. I tak bardzo by się chciało chociaż trochę z tego bogactwa mieć dla siebie. Uszczknąć jakiś kawałek dobrego duchowego samopoczucia.

Ale chociaż to dziwne, trzeba powiedzieć, że i wśród nas jest wielu bogaczy. Jeśli się dobrze zastanowić, to prawie każdy z nas ma takiego swojego Łazarza. Kim są ci nasi Łazarze? Popatrzmy, to ci, których znaliśmy: alkoholicy, narkomani, zmarnowane talenty, niedoszli geniusze, upadłe anioły. Na wielu patrzymy z pogardą, niechęcią. Burzą nasz spokój. Unikamy ich, aby nie zarazili nas swoim nieszczęściem. A często to właśnie nasze ofiary. Bo z powodu pewnych naszych precyzyjnych pociągnięć wypadli za burtę, zostali wypchnięci z naszego kręgu. Nie pasowali do nas. Wnosili zagrożenie do naszej małej stabilizacji.

Można przecież patrzeć bez emocji na odpadanie niektórych od ściany podczas człowieczej wspinaczki życiowej. Odpadali niektórzy i ciągle odpadają inni. Nie mają możliwości pracy w swoim zawodzie i podejmują się jakichkolwiek zajęć, które i tak po kolei są im wyjmowane z rąk. Rozpadają się, szarzeją i blakną. I nie pozostaje nam już nic innego, jak tylko się zdziwić, że można doprowadzić się do takiego stanu.

A może ktoś odważy się zadać pytanie, bijąc się we własne piersi: Gdzież są te cudowne dziewczyny? Gdzie są ci wspaniali chłopcy? Ci ze szkolnych lat. Jeszcze mamy ich w oczach. Tak bardzo kolorowi, tak bezkompromisowi. I takie mieli szczytne plany, takie nadzwyczajne zamierzenia. Ciągłe słyszymy ich krytyczne słowa. Ilu z nich takimi pozostało? A gdzie cała reszta? Wypadły im pióra ze skrzydeł, pociemniały twarze. Roztopili się, wsiąkli w szary tłum. I stanęli przed nami jak Łazarz.

Gdyby tak można raz jeszcze zacząć, z tymi doświadczeniami w plecaku i już na pewno z większym sercem dla innych, by z uwagą i ostrożnością sapera podawać rękę towarzyszom życiowej wędrówki.

Zawsze można zaczynać od nowa. Tak przynajmniej dzieje się wśród wyznawców Mistrza z Nazaretu. Trzeba tylko przypomnieć sobie to, co w nas człowiecze, i uświadomić sobie fakt, że można być albo Łazarzem, albo bogaczem.

W każdym dobrym powrocie jest uczenie się prawdy o sobie samym i jest prawda o innych ludziach, której uczymy się aż do końca życia. Teraz jest jeszcze czas mamony. To bożek spędzający sen z oczu wielu. Bo dopóki nie wchodzi w grę pieniądze, niewiele wiemy jeszcze o sobie i o innych. Dopiero gdy one wchodzi w grę, człowiek poznaje siebie lepiej i widzi, czy bliżej mu do Łazarza, czy do bogacza. To wtedy właśnie leczą z głów wianki, korony, czapki i birety.

Zapytajmy: Do którego z ewangelicznych bohaterów nam bliżej? A jeszcze wcześniej zadajmy pytanie: Jak daleko nam do Boga? Tak bliski jest nasz Pan, bo nawet małe dzieci z Nim rozmawiają. Tylko mędrcy najwięksi z pokorą ręce rozkładają i wyznają: Boże, jak my daleko jesteśmy od Ciebie. Ten, który jest tak blisko, układa stopnie na ludzkiej drodze, na drodze każdego z nas. Układa stopnie na drodze do siebie.

Pierwszy stopień – Łazarz.

Drugi stopień – Łazarz.

Trzeci stopień – Łazarz. Tyle tych stopni...

Bo choć szukają Go w najdalszych przestworzach, to On jest tak blisko – o krok tylko od dobrej woli.

Więcej wiedzy – mniej zrozumienia

Już świętej pamięci ksiądz Jan Twardowski zauważył dosyć dawno temu, że „prac doktorskich teraz się nie czyta, tylko się je liczy”. Czy poeta miał rację? Zapewne tak. Z problemem szczególnie stykają się ci, którzy są oficjalnymi promotorami doktorantów. W rozmowach ze swoimi kolegami, też profesorami, najpierw podaje się liczbę wypromowanych doktorów, dopiero później wspomina się o jakości ich prac. Tak przynajmniej postrzegam to ja, wszak sam mam na „swoim koncie” całkiem znaczną grupę wypromowanych doktorów. O ich pracach nie odważyłbym się teraz coś mówić, a to z lęku, by nie przstraszyć czytelnika.

Stopni naukowych przybywa na uczelniach, chociaż ich właściciele nie dojdą do wielkich pieniędzy. No chyba że nie będą tracić czasu na habilitację i zaczepią się w jakiejś firmie, która ma pieniądze. Są stopnie naukowe, o których głośno na wszelkiego rodzaju sympozjach i zjazdach naukowych. I są panele, i są dyskusje oraz wymiany zdań, a jednak ma się czasami wrażenie, że mnogość stopni naukowych jakby nie szła w parze ze wzajemnym zrozumieniem ich posiadaczy.

I popatrzymy jeszcze na obszary szczególnie ważne w życiu społeczeństw. Ekonomiści, bo do nich tutaj warto się odwołać, mają coraz większą wiedzę, doskonały aparat naukowy, nieograniczone i bardzo szybkie możliwości wymiany zdań, poglądów i propozycji. Tylko korzystać i się uczyć, jak to łatwo można kierować światem ekonomii. A jednak czegoś brakuje w całej tej ekonomicznej machinie.

A może ludzie za bardzo zaufali swojej wiedzy i są tak przekonani o swojej mądrości, że już brakuje miejsca na zrozumienie innych albo na zwykłą roztropność i świadomość tego, że ktoś mo-

że myśleć inaczej, bo ma inne doświadczenia. Może też w swoim życiu kierować się inną skalą wartości.

Ludzie roztropni – tak myślę – winni najpierw wyjaśnić sobie terminy, którymi w swoich dyskusjach się posługują, a potem dopiero dowodzić, wyjaśniać, rozmawiać, przekonywać się nawzajem co do prawdziwości takich, a nie innych, twierdzeń. I tak to ludzie mądrzy, uczeni, wielcy myśliciele spotykają się tam, gdzie nie zawsze rozumieją się nawzajem. Może też przy tym zabraknąć odwagi, by przyznać się do braku roztropności albo tego, że przygniotła ją pycha.

Ktoś może zauważyć, że to zbyt pesymistyczne traktowanie mędrców tego świata. Może trochę tak jest. Sam sobie przypisuję prawo do takich myśli.

Batalię o życie, dobro, uczciwość, wyrwanie człowieka z grzechu wygrał i ciągle wygrywa nasz Pan – Jezus Chrystus. I On każe nam być dobrej myśli, trzymać się wiary i nadziei, mimo różnych przeszkód. Bo miłującym Boga wszystko obraca się ku dobremu.

Jezus prawdziwym krzewem winnym, my – latoroślami. On Jeden, Wielki, a nas tak wielu i wcale nie wielkich, raczej całkiem zwyczajnych. I ciągle się dzielimy. Podzieleni są chrześcijanie – ta Boża latorośl. Pewnie Jego to boli, bo dostaliśmy się do samego serca Pana i rozdieramy je naszymi podziałami. A On tak bardzo pragnął, byśmy byli jedno. Prawosławni, protestanci, katolicy – którzy są Chrystusowi? Kto ich Panem? To pewnie grzech tak ludzi podzielił.

Dziwimy się, że naród izraelski wędrował przez pustynię aż czterdzieści lat. To był czas na wymianę pokolenia, na zmianę mentalności, przemianę z ludu niewolników w naród wybrany, wolny, wchodzący do Ziemi Obiecanej.

A dzisiaj człowiek chciałby od razu i tej ziemi, i zmienionej mentalności. Tylko co z całym pokoleniem? Takiej przemiany nie dokonuje się za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Trzeba pustyni. Trzeba się Bogu i ludziom wypowiadać. Bo przecież sprzeniewierzyliśmy się testamentowi Pana Jezusa. A może cudem

zjednoczenia będzie, gdy wszyscy upadniemy na kolana, by przeprosić Boga i świat odkupiony. I Matkę Ziemię, że tak jest przez ludzi gwałcona.

Rozdarta jest rodzina ludzka. My, ludzie przełomu tysiącleci, pyszni budowniczo wieży Babel, zakuci w żelazo, wydzieramy sobie gwiazdy z rąk. Mamy poplątane języki, skamieniałe serca. Grzech dzieli nieustannie i serca bardziej twardnieją. Ginie wiara w Boga, a więc i w człowieka. A świat woła o serce, chleb, powietrze, kroplę czystej wody, trochę żywej zieleni.

I potrzeba zmiany naszej mentalności w rozdartych rodzinach, w zdegenerowanych miejscach pracy. To, że robi się czasami ciemno, wcale nie znaczy, że słońce dla nas zgasło. To może ziemia jakby plecami się do słońca obróciła.

Bardzo pragniemy, by była sprawowana liturgia w czcigodnych cerkwiach, by była czytana Biblia i by śpiewano pieśni w protestanckich zborach, byśmy klękali wszyscy do jednego stołu i karmili się jednym chlebem w katolickich świątyniach. Byśmy po prostu lepiej się rozumieli i kochali nawzajem.

Ale trzeba się spieszyć kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą. I żeby nam nie pozostał żal:

[...] że się za mało kochało
że się myślało o sobie
że się już nie zdążyło
że było za późno.

ks. J. Twardowski, *Żal*

Oby znowu nie wyszło z nas to typowe dla Polaków chętne rzucanie się na wielkie tematy, a potem zmęczenie, smutek i marazm. I oto kolejna ewangeliczna przypowieść Pana Jezusa o dwóch synach posłanych przez ojca do pracy w winnicy. Ewangelia mówi wprost. Jeden z zapałem powiedział „tak”, a potem nic z tego nie wyszło. Drugi najpierw powiedział „nie”, ale potem się opamiętał i poszedł do pracy.

Gdy Pan zaprasza do winnicy, to ma się wrażenie, że rozmawia z Polakami. Łatwo jest o pewne analogie do polskiej sytuacji, do naszej mentalności. Nietrudno o słomiany zapał, nietrudno o szybkie i bardzo górnolotne deklaracje. Całkiem łatwo przychodzi nam zaczynać z rozmachem. Tylko po drodze coś jakby wysycha, coś się rozmywa i ginie.

Wielu mówi: „Idę, Panie, do winnicy, do pracy”, a potem wciąga nas tłum i zaczynamy płynąć z prądem w nieco innym kierunku niż ten zamierzony na początku. Ale jest też w nas coś, co można by nazwać dumą i uporem: „Nie chcę, nie pójdę”; a po refleksji przychodzi opamiętanie i spokojne podjęcie zadań, które na początku były odrzucane.

Pojawiają się również w nas dziwne pretensje: „Panie, dlaczego oni, dlaczego celnicy i nierządnicze mają być przed nami?”. Ilekroć patrzymy na naszą polską historię, rodzą się gorzkie i smutne myśli: oto po raz kolejny naród głupio się podzielił, zamiast mądrze i pięknie się poróżnić, znów prywata i sejmikowanie, znów ludzie zamiast konfrontować poglądy, obrażają się nawzajem i poniżają.

Każde pokolenie rodaków ma okresy zgodnego wołania na placach i w kościołach: „Idziemy, Panie, do winnicy Twojej, choć w niewoli, to wolni, bo tylko pod tym krzyżem, tylko pod tym znakiem...”. Msze za Ojczyznę – to nie jest tylko zjawisko drugiej połowy XX wieku. Ołtarz i Komunia święta były i są miejscem, gdzie jednoczą się myśli i pragnienia. I zapytajmy: Gdzie są myśli z tamtych gorących lat? Gdzie pragnienia z tamtych lat?

Tak ochoczo naród ciągnął do winnicy wolności, że gdy już tam dotarł, zauważył, że jakoś ciężko iść dalej, kiedy nagle zabrakło widocznego wroga. I trudno pojąć, że maleje zapał, gdy ten zewnętrzny wróg rozmywa się i rozmienia na drobne; przychodzi zmęczenie i okazuje się, że cel jest za daleki, że łatwiej było doraźnie się buntować i działać „przeciw” niż iść wspólnie „ku” czemuś.

Nic dziwnego, że rodzą się też pretensje do Pana Boga i do ludzi. Dlaczego celnicy i nierządnicze idą pierwsi do królestwa? Dla-

czego ci, którzy późno przyszli, tak samo są wynagradzani jak ci trudzący się przez lata w cierpieniu i poniewierce?

Właśnie wtedy Pan spokojnie przypomina nam o zawartej z Nim umowie, kiedy mówiliśmy: „Tak, oto idę”, kiedy naprawdę byliśmy szczęśliwi i nie oglądaliśmy się na innych. Ale smutno w sercu, gdy zapał wyraźnie słabnie i kiedy wszyscy widzimy, co się nam porobiło w tej polskiej winnicy. I chociaż winne grona wolności są piękne i soczyste, to jednak zbyt ciężkie do noszenia w kosztach i składowania, toteż i ten wysiłek nie zespolił robotników, lecz wręcz jakby ich podzielił.

Jednak jesteśmy narodem wierzącym i mającym nadzieję. Wiemy, że jest trudno. I może, jak w Ewangelii, najpierw z oporami i trochę niechętnie mówimy: „Tak, Panie?”. Bo już i siebie poznaliśmy, i innych ludzi. A widząc, że niektórzy w zapale słabną, trwamy na modlitwie, przed ołtarz Pana przychodzimy. Ciągłe podejmujemy dobre zobowiązania, robimy postanowienia i każdy nowy dzień chcemy wypełnić ufnością i prawdą, solidną pracą i miłością.

Przecież nie umarły serca w nas i sumienia. Przecież do Boga i do ludzi nie zawsze idzie się prostą drogą i przez główną bramę. Czasem na przelaj, trochę naokoło, od tyłu, poprzez rozpacz, po biednych, pokracznych ścieżkach, z każdego miejsca, skąd On – nasz Pan – wzywa nas tym, co w nas jeszcze nieumarłe.

On ma swój sposób działania. Przygarnia celników, nierządnicę. Ale też nieustannie prosi: Przyjdźcie, utrudzeni i obciążeni, przyjdźcie wszyscy, choć wam się drogi poplątały, choć zapomnieliście o tej umowie, która kiedyś została zawarta.

Pewnie w końcu serdecznie wyznamy: Ufamy Ci, Panie, bo masz taką zwyczajną, ludzką ranę w boku. Ale po raz kolejny pytamy siebie w sercach naszych o umowę zawartą z Panem. Co z wiernością danemu kiedyś słowu? Gdy czas nieubłaganie płynie, to pytanie o wierność stawiać trzeba częściej.

Zresztą sam czas to też przedmiot umowy. Czas otrzymany w dzierżawę, pod uprawę, by przynosił owoc, by nigdy nie był marnotrawiony. Czas nie może być ugięciem. Nie jest naszą włas-

nością. Jest dany i zadany jednocześnie. Również miejsce dzierżawimy. Owszem, mamy czynić sobie ziemię poddaną, ale ona też nie jest naszą własnością. Nie możemy jej ani zaniedbywać, ani bezmyślnie wykorzystywać. Nie wolno ziemi zaśmiecać i zatrwać. To Boża własność.

Ludzie też w pewien sposób są u nas w dzierżawie. Nie można nikogo, nawet najbliższego, do końca posiadać. Każdy człowiek jest najpierw dzieckiem Boga. Dlatego to tak ważne, by kochać mądrze i roztropnie się przyjaźnić.

Posyła więc Pan Bóg co pewien czas swoich aniołów na ziemię, by obejrzeni, jak to ludzie dzierżawią różne rzeczy, czas, miejsce i innych ludzi. I chodzi wtedy taki anioł po świecie. Sprząta po miłościach, co się rozleciały. Zbiera okruszyny zdradzonych przyjaźni, jak się zbiera resztki chleba, żeby mogły być jeszcze pokarmem dla wróbli, skoro ludzie już ich nie chcą. Zabłąkane łzy taki anioł osusza. Pewnie sam płacze, kiedy ludzie zabijają. Nadziwić się nie może, że ten mur brzydkich układów i nieczystych zależności na świecie taki twardy, wysoki i długi. Czasem powie sam do siebie: Takiego muru to nawet anielską głową nie przebijesz. Oczy przeciera, gdy widzi, jakimi doskonałymi konstruktorami są moiżni tego świata, ale też i służalcy.

A inny anioł, jak koneser, zbiera po całym świecie małe, śmieszne pamiątki, które budziły wzruszenia w wielu ludziach. Notesy, a w nich ukryte daty i sekretne adresy. Zbiera blizny po dziwnych uśmiechach. Sprzeczki i skłócenia nie wiadomo po co. Ludzkie żale jak pojedyncze osy. Od czasu do czasu trafi się jakiś rodzynek mądrości i wyznanie, że przecież wcale nie o to w życiu szło.

A potem siadają aniołowie zmęczeni tym chodzeniem po ziemi. Wiesz – wyzna jeden – można mieć na tym świecie wszystko, by odejść: czas, młodość, dobre układy, wielkie pieniądze, znaczące stanowisko. Można mieć przekonanie, że nawet Pan Bóg jest niepotrzebny. Wszystko można mieć, żeby odejść.

Może i tak – zauważy drugi anioł – ale potem przychodzi na człowieka czas, jak ufność sama, że trzeba nic nie mieć, żeby wró-

cić. Nawet gdy człowiek nie ma już nic, gdy mu wydarto ostatnie marzenia z serca, gdy już po raz nie wiadomo który skopano go i wyszydzono, zawsze jednak znajdzie się coś w najgłębszym zakamarku serca, co jeszcze trzeba odrzucić. Pogodzić się z faktem, że to, co się skończyło, to nie była przyjaźń, bo ta nie zna końca. Już naprawdę nic nie mieć, choćby drobniotkich złudzeń. Wtedy się wraca.

Pomódlmy się, mój bracie aniele, za ludzi na ziemi. Prośmy Boga, żeby pomógł ludziom. Popatrz, oni tak zabiegani, tak zapracowani. Gubią słowa, zapominają o dawnych przyjaźniach. Są uwiązani zależnościami, kuszeni posiadaniem. Módlmy się za ludzi, żeby tak goniąc po ziemi, znaleźli jednak czas samej ufności i umieli wracać.